Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 52.** Leszno, dnia 29. Czerwca 1839.



Kopalnie żelaza w Danmora w Szwecyi.

(Z wspomnień jesiennych Alex. Przedzieckiego.) *)

O pięć mil od Upsali, odległa jest sławna kopalnia żelaza w Danmora. Siedliśmy na pocztowe wózki, poraz pierwszy od Nornköping, wysławszy naprzód, w miejsce poczciwego huzara, który nas w stolicy opuścił, innego posłańca, którego nam w austeryi polecono, z powodu, iż miał polskie nazwisko. Dziad jego, muzykant

*) *Szwecya, wspomnienia jesienne z r. 1833., p. Alex. Przedzieckiego. Warszawa 1836.*

z professyi, w te strony przywędrował, ożenił się, i osiadł, i tak dalece się przyjął, iż wnuk jego ani słowa już po polsku nie umiał. Ale co gorsza, tak ograniczony był nasz ziomek, iż na nic nam się nieprzydał: bo, zamiast, coby miał nam konie obstalowywać po drodze, dopędziliśmy go na pierwszéj stacyi, i odtąd z nami już jechał. Nic ładnego niemogliśmy upatrzeć, w ciągu podróży téj pięciomilowéj; jednostajność kraju nudziła nas, przedstawiając te same obrazy, co w prowincyach Smoland i Ostgotland; pagórki zielone, jałowcowe krzaki, bzowe gaje, spiczaste wieże kościołków wiejskich, i drewniane domy włościańskie. Nakoniec zwiastowały nam sąsiedztwo kopalni, długie drewniane rury, na pionowych żerdziach oparte, któremi woda, pompami z kopalni czerpana, wypływa. Nakształt wysokiéj baryery, ciągną się o ćwierć mili te rury. Otóż i Danmora! kilka domów fabrycznych około głębokiéj jamy. Ale co za jama! Przybliżyliśmy się do brzegu. W pośród kilku gór żelaznych, w około stojących, otwiera się przepaść, z razu obszerna, ale coraz zwężając się, zakończona jest nakształt wywróconego ostrokręgu; prawdziwy obraz piekła, jak je Dante wystawia. 420 stóp głębokości ma otwór kopalni; niższa połowa zalana jest błękitnawym, gęstym dymem, który tajemnice miejsca tego, nieprzejrzaną zasłoną pokrywa. Ni wschody, ni drabina, do dna nieprowadzą; ale na samym brzegu przepaści, wznosi się ogromne rusztowanie. Para koni obraca walec, około którego zakręca się lina, przez kołowrot u góry rusztowania przeprowadzona, rudę żelazną, w beczkach, ze dna kopalni na powierzchnią ziemi wydobywająca. Jednę z tych beczek wypróżnioną, przybliżono do brzegu i proszono nas siadać. Dreszcz mimowolny przejął nas wszystkich, gdy jedną nogą na brzegu jeszcze, drugą, zawieszoną nad otchłanią, trzeba było przeważyć się na tę stronę, aby drugą nogę do beczki przeciągnąć; trzech nas wstąpiło do beczki, w któréj po pas, jak w pokrowcu, stojąc, trzymaliśmy się oburącz łańcuchów, które beczkę do ogromnéj liny przytwierdzały. Jeden z robotników stanął nogami na brzegach beczki, trzymając się tylko liny; dano znaki; konie zaczęły stąpać, i już dym błękitnawy rozstępował się przed nami. Nie był to wprawdzie ani powóz, ani podróż po temu, aby rozmowę bardzo żwawą prowadzić; jednak obiecywaliśmy sobie, współpodróżni beczkowi, w razie, gdyby dno karety naszéj pod ciężarem runęło, jąć się mocno, każdy swego łańcucha i końca podróży doczekać.

Innego niebezpieczeństwa nieprzewidywaliśmy. W prawdzie życie nasze, trzech nas, na witce zawieszone było; ale na téj witce i Parka by nożyce stępiła. Widzieliśmy pod nami sterczące skały, jak igły żelazne, o które się nie trudno było roztrącić; ale mieliśmy zaufanie w biegłości naszego sternika, który beczkę od miejsc niebezpiecznych za pomocą żerdzi odpychał. Powoli spuszczono nas na dno zupełnie, jak wiadro do studni; sześć minut i pół upłynęło, nim beczka na dnie stanęła. Wysiedliśmy skwapliwie, gdyż potrzebny był powóz pozostałym na ziemi towarzyszom. Kopalnia w Danmorze szczególny przedstawia widok; nie ma w niéj jeszcze tych galeryi podziemnych, jak w Wieliczce, Bochni i innych. Tu robotnicy powiększają codzień ogromną jamę, dno jéj coraz rozszerzając. Danmora otaczała nas stojących na dnie, jak majestatyczna świątynia, któréj ściany i podłoga żelazna, a niebo sklepieniem. Nazbieraliśmy na pamiątkę kruszców, a naładowawszy niemi kieszenie, wstąpiliśmy na nowo w beczkę, która się w górę podniosła. Teraz większe było niebezpieczeństwo: bo za cofnieniem się koni na górze, mogliśmy spaść gwałtownie na skały, lub na dno kopalni. Ale obeszło się bez przypadku; dostaliśmy się na otwarte powietrze, niezmiernie zadowolnieni z nowego rodzaju podróżowania. Wtenczas to powiedziano nam, że najłatwiéj można było, albo samemu zginąć, albo drugiego zabić w Danmorze. Miało się to właśnie niedawnemi czasy zdarzyć. Mimo najsurowszych zakazów, nieroztropny Francuz podróżny, obejrzawszy kopalnię, rzucił kamyczkiem na dno, czekał póki nie stuknęło i odjechał. Nazajutrz dogonili go z oznajmieniem, że kamyk nieszczęsny, trafił jednego z robotników, przedziurawił kapelusz i przebił czaszkę. Co za wiadomość dla biednego podróżnika! Kazano mu wrócić na miejsce i być świadkiem nieszczęścia, którego był sprawcą. Starał się los osieroconéj rodziny osłodzić; ale co za wspomnienie pozostanie mu z téj podróży!

Górnica.

(Dokończenie.)

Mocne i gwałtowne pukania w drzwi żelazne lamusa, obudziły go na nową męczarnię, otworzył oczy i dostrzegł w ciemności stojącego przed sobą człowieka. Wrzasnął z przestrachu; byłto bowiem ów wieśniak, trzymany od kilku tygodni w lamusie za małe przewinienie, za nieuchylenie przed dziedzicem czapki. Struchłał pan na widok chłopa, któremu krzywdę wyrządził, którego niesprawiedliwie katował. Mniemał się być zgubionym, i załamując ręce z pokorą dotąd obcą jemu, żebrał litości, żebrał przebaczenia u skrzywdzonego. Dobre człeczysko ulitowało się nad niedobrym panem w nieszczęściu i tak się odezwało do niego:

„Wielką wyrządziliście mnie biednemu krzywdę. Bogu zdacie liczbę z postępku waszego; może Bóg to karze was dzisiaj i uciska, za uciskanie ubogich. Ja pomsty na was wywoływać nie będę, ani zemsty pragnę; Bóg świadkiem! i gdyby to w mojéj mocy było, rad-

bym was ratował, w biedzie, ale jakim sposobem? nie moja to głowa: nie wiem, co się dzieje, i jakieżto licho napędziło was do lamusa, i takim napełniło strachem.“

Charłupski krótko opowiedział rzecz całą. Wieśniak pomyśliwszy trocha i podumawszy, tak się odezwał: „Szturmują do lamusa i niechybnie drzwi wywalą; wstyd i sromota czeka was panie, skoro gwałtem przymuszą was do sypania kopca, i napiętnują czoło kieby zbrodniarzowi jakiemu.“

„Matko wielkiego miłosierdzia!“ zajęczał Charłupski, „bodajem wszystko stracił, jeno takiéj nie doznał hańby.“

„Tak mi Boże dopomódz,“ rzekł wieśniak, „nie doznacie tego; posłuchajcie jeno, co wam rzeknę, i zróbcie to, co wam poradzę.“

„Ratuj mnie dobry człowieku! stokrotnie ci nadgrodzę, i każdego, któregom tylko skrzywdził kiedykolwiek mową lub uczynkiem: obiecuję poprawę; moja wina, moja bardzo wielka wina!“

„Kiedyć obiecujecie panie poprawę, i żałujecie za grzechy, toć Bóg, i swojéj nie odmówi wam pomocy, i wybawi z téj biedy. Zróbcież tak, jak mówię: Zrzućcie co prędzéj z siebie wasze szaty, a obleczcie moje wieśniacze. Wsadźcie na głowę czapę moję, i wdziejcie górnicę; skoro odwalą wrota do lamusa, powiema, żeśmy poddani dziedzica, że nas tu zamknął i katował, że nam krzywdę wyrządził. Oni dadzą temu wiarę, i wypuszczą nas na wolność; niby na przekorę panu.“

Wstąpiła dusza w Charłupskiego, a myśli ożywione tą nadzieją, rozweseliły się nieco; przystał więc chętnie na wszystko; ale skoro wieśniak zażądał, ażeby rozkuł dyby, któremi skrępowane miał nogi, nie dowierzając, zwrócił na niego spojrzenie, i nowa trwoga opanowała serce, ażali wieśniak nie myśli o zdradzie? i tym końcem uwolnić się pragnie z kajdan. Ale z tamtéj strony coraz silniéj bito, i drągi już zakładano pod zawiasy.

Wieśniak nalegał na pana, nie było czasu do namysłu. „Stań się wola twoja!“ zawołał Charłupski, i z całem poddaniem się losowi, jaki go czeka, uczynił wszystko. Przebrał się po chłopsku, uwolnił z dybów wieśniakowi jednę nogę, a natomiast włożył swoją prawą, i tak oba z wieśniakiem w jednych dybach zamknięci, czekali, co się daléj dziać będzie, ukrywszy wprzódy zebrane kosztowności w kryjówce. I pokazało się, że wieśniak nie był zdrajcą, a rada jego była dobra rada. Marszałek pana stolnika, wywaliwszy drzwi lamusowe, zastał w tym lochu dwóch chłopów, więźniów, przez dziedzica męczonych; puścił ich na wolność, a nie znalazłszy nigdzie dziedzica, wrócił, splondrowawszy dwór Charłupskiego.

W kilka dni potém dyktował pan stolnik pisarzowi nadwornemu swemu co następuje:

„Ultimis Augusti hora matutina. Urodzony pan Charłupski przysłał na dniu dzisiejszym do jaśnie wielmożnego deputata trybunału lubelskiego, stolnika sandomirskiego, list, w którym submitując, i ścieląc się pod stopy jaśnie wielmożnego, do winy się przyznając, uniżenie i pokornie, i z całą modestyą przebaczenia żebrze, ucieczki szukając *sub umbra alarum* jaśnie wielmożnego. Z téj *konsyderacyi*, że wspaniałomyślność cechuje wielkie dusze, jaśnie wielmożny deputat na trybunał koronny, przyjął tę pokorną *submissyę*, i końcem okazania łaski swojéj urodzonemu Charłupskiemu, wzywa go do stawienia się na dniu niedzielnym w zamku Radgoszczy.“ Tyle słów napisał pisarz.

Charłupski stawił się na dniu i miejscu wyznaczoném. Nastąpiło z jednéj strony wyznanie winy, z drugiéj przebaczenie, a urazy i krzywdy, wzajemnie sobie wyrządzone, utonęły w kielichu, spełnionym za zdrowie jaśnie wielmożnego. Ale dziedzic na wielkich i małych Charłupach Charłupski, widząc w nieszczęściu, które przebył, oczywistą niebios karę za grzechy, a mianowicie za pychę swoję, postanowił od dnia tego, aż do ostatniego dnia życia, nosić wieśniacze odzienie. Raz za pokutę odpowiadającą grzesznikowi z pychy, powtóre, ażeby ta wieśniacza szata przypominała mu zawdy, iż winien jéj swoje od sromoty wybawienie. Ale odtąd zaczął być innym człowiekiem, i nie był panem, ale ojcem swoich poddanych; a wieśniaka, którego trzymał w niewoli, na wszystkie czasy uwolnił od pańszczyzny i danin, czyniąc go zupełnie *wolnym człowiekiem*.

Ta historya pana Charłupskiego, uczy nas, iż jakie bądź Bóg mądry i sprawiedliwy na ludzi spuści nieszczęście, woli jego najświętszéj poddać się, i tę szanować mają, a na niefortunność nie wyrzekać; albowiem wszystko, cokolwiek się dzieje, dzieje się i z woli i rządów boskich, a wszystko służy ku dobru naszemu; najsroższy nawet nieszczęścia cios bywa częstokroć łaską największą Boga, jak się to w historyi niniejszéj *ad evidentiam* sprawdziło, gdzie nieszczęście przyczyniło się do poprawy człowieka, do uszczęśliwienia go na tym i zbawienia na tamtym świecie. *A. G.*

Józef Maxymilian hrabia Ossoliński.

(Koniec.)

„Myśl“, pisze w inném miejscu Ossoliński, „iż mam żyć w pamięci moich współziomków, bliskiego już zachodu, otuchą przyszłości chęci me zagrzewa i siły pokrzepia. Pragnąłem jedynie zrobić przysługę méj ojczyznie, rozciągnąć jéj użyteczność do najdalszych pokoleń. Jeżeli nadając temu dziełu istnienie, nadałem i trwałość, celu mych zamiarów dopiąłem: mogę rzec z Horacym: „*exegi monumentum aere perennius.*“

Nie kłamliwy, jak zwykle bywa, odgłos, co przechodząc przez pisma i usta, podwaja się i wzrasta, ale własne dzieła Ossolińskiego piśmienne, sławę jego nauki po całéj prawie Europie rozniosły. Przeto wiele towarzystw uczonych, jakoto Akademia sztuk pięknych w Wiedniu i Naukowe Towarzystwo w Getyndze w r. 1808; Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk w Warszawie, rólnicze-umiejętne wiedeńskie roku 1818 i t. d. w poczet go członków swoich przyjęły, a cesarz Franciszek w r. 1809 zrobił go przełożonym księgozbioru nadwornego w Wiedniu. Księgozbiór ten, jeden z najznakomitszych w Europie, pomnożył Ossoliński znacznie staraniem swojém i uporządkował.

Od młodości zaprzągł się Ossoliński do pracy piśmiennéj, a na przekładzie na polski język wzorowego pisarza, Seneki, sił swoich doświadczał, wydawszy w roku 1782 dzieło tego rzymskiego filozofa, pod napisem: *O pocieszeniu, ksiąg troje.* Był także współpracownikiem *Monitora* i *Zabaw przyjemnych i pożytecznych.* Wkrótce ważniejsze prace całą uwagę jego zajęły. Towarzystwo przyjaciół nauk poleciło mu napisać początkowe dzieje Polski, które miały stanowić tom I. historyi Naruszewicza. Podjął się téj niezmiernéj pracy, mnóstwo starożytnych pisarzów przerzucił, ogromne z nich wyjątki zgromadził, jednakże dzieła, dla zaszłych przeszkód i innych zatrudnień literackich, niedokończył. Drugie, niemniéj ważne przedsięwzięcie jego literackie, także z polecenia Towarzystwa przyjaciół nauk, była *Historya panowania Zygmunta I.*, nad którą 17 lat pracował, ogrom wypisów zgromadził, pięć razy ją pisał, poprawiał, objaśniał i znowu przetwarzał, okrzesywał i ogładzał, a jednak nie uznał téj roboty godną pokazania jéj światu.

Zgromadzając do tego przedmiotu zapasy, oddzielał z nich to wszystko, co do biografii ludzi znamienitych w Polsce należało. Ze zbioru tych zapasów powstało dzieło: *Wiadomości historyczno-krytyczne* i t. d., tomów 4., dzieło niezmiernie głębokiéj erudycyi i wielkiéj wartości co do historyi literatury ojczystéj. W poważnych zatrudnieniach piśmiennych znajdował Ossoliński i wolne chwile do fraszek: lubił społeczność, a w zabawach, w rozmowach dowcipnych i wesołych, chętnie się z nią łączył. Dla rozrywki wieczornych zwłaszcza posiedzeń, napisał krotofilne powieści *o pustelniku, o strachach, o borucie, o marach* i t. d., i dziełku temu dał napis: *Wieczory badeńskie.* Dziełko to w rękopismach jego pośmiertnych zostało; miał on je oddać drukarni któréj, aby je bezimiennie wydała. Prócz tego zostawił wiele niedokończonych prac, n. p.: *o stanie i potrzebach literatury polskiéj; uwagi nad rządem i obyczajami polskiemi* i t. d. Utraciwszy w roku 1822 nad temi pracami i ślęczeniami wzrok, który miał zawsze krótki, tłumaczył w tém kalectwie Liwiusza, listy Pliniusza młodszego i satyry Juwenalisa; przecież i tych prac, dolegliwości podeszłego wieku i śmierć dnia 17. Marca 1826. roku przypadła, dokończyć niedozwoliły.

W Ossolińskim posiada literatura nasza bardzo znakomitego pisarza. „Dokładność w opisach“, mówi uczony Siarczyński w biografii jego; „dowodność w sprawdzeniach i przytoczeniach, jasność w związku rzeczy i myśli, poprawność w składzie mowy, dobór przenośni i wyrazów, są szczególnem i właściwem pism jego znamieniem i zaletą. Obszerna i obfita znajomość dziejów i całego piśmiennictwa polskiego, często nastręczała mu hurmem wszelakie wiadomości, przeto nie rzadko w dziele jego wtrącone nawiasowe wiadomości, dalekie w związku i innego piętna czytać się zdarza. Wymowa jego obfita i dosadna, jest starannie ozdobna, mimo tego skromna, do potocznego sposobu mówienia tak zbliżona, iż i powszednich wyrazów wytworność jéj nie odrzuca. Tchnie on zawsze ową niezmuszoną swobodą w wysłowieniu, o któréj pisze Kwintylian, iż więcéj się od niéj wyrodzono, niżeli od przodków wymowy. Słusznie przeto obok Naruszewicza i Czackiego miejsce Ossolińskiemu naznaczają!“

Ossoliński, którego jedynym żywiołem nauka była, kochał i poważał uczonych, zwłaszcza współziomków swoich. Potomek znakomitych rodzin senatorskich, wsławionych w ojczyznie orężem, radą, piórem, pan znacznego majątku, zajmujący sam wysokie w społeczeństwie stanowisko, najchętniéj obcował z uczonymi, i nie tylko ich przyjaźnią swoją zaszczycał, ale owszem sam się o przyjaźń ich ubiegał, chociaż ślepy los nieraz wielki pomiędzy nim a nimi przedział położył. Ten drogi węzeł przyjaźni, łączył go, między innymi, z uczonymi professorami Lindem i Jerzym Samuelem Bandtkiem. Jestto kamień probierczy nauki człowieka, który tym sposobem okazuje, że ma głębszy rozum i wynikłe z niego przekonanie, iż tylko sama cnota i nauka ludzi nad poziom gminu wynoszą, iż tylko zasługa w oczach mędrca na szacunek zasługuje, a tytuł, majątek, stopień, urodzenie, i ogołocone z cnoty, nauki, zasługi, są marnością, dziecinnem bawidełkiem!

Autentyczna wiadomość o tragicznym zgonie Cooca i jego ubóstwieniu na wyspach Sandwich.

(Koniec.)

Z uroczystem milczeniem zbliżył się do niego król, własny płaszcz zawiesił mu na barkach, i głowę jego z kosztownych piór zrobionym strojem ozdobił; dał mu nadto wachlarz w rękę i kilka kosztownych płaszczów pod nogi jego rozpostarł. Poczem przybliżyli się najprzedniejsi z orszaku królewskiego i kapłani, złożyli ofiary nowemu bożkowi, składające się z wieprzy, trzciny cukrowéj, kokosowych orzechów i owoców krajowych. Cooc przyjął je mile i stósownemi dary starał się odwdzięczyć tak gościnne przyjęcie.

Lubo krajowcy nie mogli się wydziwić dobremu apetytowi bożka Rono i jego towarzyszów, pochłaniających w okamgnieniu nadzwyczajną, podług ich mniemania, ilość ofiarowanych im pokarmów, i lubo z téj przyczyny ogłodzenia wyspy obawiać się zaczęto, przyjazne wszelako związki podczas pobytu na téj wyspie, w niczem z żadnéj strony naruszone nie były.

„Nasi goście przybyli z kraju, gdzie zapewne długo nic nie jedli“, odezwał się raz król do swych poufalszych. „Jeżeli kilka miesięcy u nas zabawią, to i nas podobno głodu nabawią. Gdyż apetyt ich przechodzi wszelkie wyobrażenie. Jeden z nich pochłania więcéj, niż nas dziesięciu.“

Można sobie więc łatwo wystawić, jak się król ucieszył, gdy się dowiedział, że 4. Lut. cudzoziemcy wyspę opuścić mieli. W dowód swéj życzliwości, a razem i ukontentowania pozbycia się tak żarłocznych przybyszów, posełał im kilkakrotnie łodzie napełnione żywnością, aby się przecie raz nasycili i w swym zgłodniałym kraju nie cierpieli głodu.

Tymczasem kapłani postanowili koniecznie zatrzymać u siebie bożka Rono; a gdy im wystawiono, iż żadnym sposobem u nich pozostać nie może, żądali, aby im przynajmniéj zostawił porucznika King, którego za jego syna uważali. A gdy im i ta prośba odmówioną została, ubolewali nadzwyczajnie z oddalenia się tych nowych bogów i wróżyli dla swego kraju wielkie nieszczęście.

Dziwnem rzeczy zrządzeniem, zbyt wcześnie spełniła się ich wieszczba. Gwałtowny wicher uszkodził wkrótce po odbiciu tak dalece jeden angielski okręt, że Cook widział się być zmuszony, dla naprawienia go dnia 11. Lut. znowu do wyspy Owahi powrócić.

Lubo przyjaźne chęci krajowców, a mianowicie króla, zdawały się być te same, wkrótce jednak przekonał się Cook, że pewna oziębłość i nieufność zajęła miejsce dawnéj przychylności i uszanowania. Do wyżéj wyrażonéj obawy, przyłączyła się teraz ta okoliczność, że im dłużéj ci cudzoziemcy bawili na wyspie, tym widoczniéj nikł urok ich bóstwa, tym oczywiściéj przekonywano się, że ci cudzoziemcy są równemi z nimi istotami, nie wiele lepszemi od wyspiarzy.

Odkrycie takowe obudziło natychmiast w nich wrodzoną i tylko zabobonną obawą tłumioną chęć do kradzieży. Każdy przedmiot z żelaza zdawał im się być tak pożądany, że niezaniechali go sobie przywłaszczyć. Ztąd już 13. Lut. przyszło do bijatyki. Krajowcy stawili odpór, i lubo osobista przytomność Cooka zdołała zwaśnione ukoić umysły, okoliczność ta atoli przekonała krajowców, że siły fizyczne tych przychodniów nie są nadzwyczajne, i że im podołać mogą.

Na nieszczęście postrzelili majtkowie okrętowi kilku złodziei i zbili pewnego starszeńca, nazwiskiem Paria, zdybanego na uczynku, gdy sobie gwóźdź chciał przywłaszczyć, lubo tenże dawniej hojnie darami ich był obsypywał. Postępek ten tak dalece oburzył krajowców, że z wściekłością rzucili się na Anglików, którzy byliby niechybnie życiem swéj niewdzięczności przypłacili, gdyby był Paria sam nie wstawił się za nimi i nie wstrzymał swych ziomków.

Wypadek ten, zamiast coby był miał nauczyć ostrożności Anglików, jeszcze ich bardziéj obruszył, ile że i zuchwałość i kradzież wyspiarzy coraz bardziéj się powiększała. Nakoniec 14. Lut. spostrzeżono, że jedna łódź okrętowa ukradziona została. Cook, z natury popędliwy i gwałtowny, a przytem nieugięty aż do oporu w powziętem raz postanowieniu, był tak nierozsądny, a nawet powiedzieć można niesprawiedliwy, iż kazał dać ognia z armat na dwa czołna wyspiarzy, spokojnie płynące. Usiłował nawet dostać w swe ręce króla i starszych wyspy, i tak długo ich w zakładzie trzymać, dopókiby łódź zwróconą nie była.

14. Lutego o 8 godz. z rana, uczyniwszy na okręcie stósowne rozporządzenie, wsiadł w łódź uzbrojoną 9ciu żołnierzami i majtkami i przybił do lądu. Tu udał się niezwłocznie do mieszkania króla, jeszcze wtenczas śpiącego, i kazał mu natychmiast wstać i pójść z nim. Słaby monarcha nie stawił najmniejszego oporu; kazał zawołać swoich dwóch synów i oddał się z nimi w moc kapitana.

Już byli synowie królewscy wsiedli do łodzi, gdy jedna z żon królewskich przybiegła z wielkim krzykiem na brzeg morza, i upadłszy królowi do nóg, zaklinała go, aby nie szedł z cudzoziemcem. Tłum wyspiarzy rósł coraz bardziéj, otaczając wylękłego i wahającego się monarchę i przypatrując się téj serce rozdzierającéj scenie.

Naraz zakrzyknął ktoś z wyspiarzy: „wojna, wojna! te cudzoziemskie poczwary zamordowały nam jednego z naszych starszeńców w czołnie, który im nic złego nie uczynił.“

Że wszech stron wzięto się do broni i zaczęto na Anglików rzucać kamieniami. Cook kazał swoim ludziom stanąć w szeregu. Jeden z zajadłych krajowców rzucił się na niego z dzidą. Kapitan uprzedził raz jego i z broni palnéj strzałem, trupem go położył. W tym momencie dali jego ludzie ognia. Cook nie dał do tego rozkazu, chciał owszem temu zapobiedz, ale w tym zapale i zgiełku ani od swych własnych ludzi, ani od krajowców nie był słuchany.

Ugodzony strzałą, póżniéj dzidą, padł nieżywy w wodę; na brzegu morskim, koło niego, powstała zażarta bitwa. Wyspiarze z nieustraszoną zawziętością rzucili się na broń palną Europejczyków. Czterech żołnierzy legło; pozostali, więcéj mniéj ranni, ledwo zdołali wsieść w łódź i schronić się do okrętu, zostawując ciała czterech swoich towarzyszów i nieśmiertelnego kapitana, który tyle jeszcze dla nauki, któréj się poświęcił, mógł był uczynić.

Obruszona osada okrętowa, chcąc się pomścić śmierci swego dowódzcy, stoczyła z wyspiarzami na brzegu morskim zaciętą walkę,

która na tem się skończyła, że lubo najwaleczniejsi z wyspiarzy polegli i niezmierna moc dzikich, cudzoziemcy jednakże z wyspy ustąpić musieli, chroniąc się na okręty.

Nazajutrz weszli z wyspiarzami w układy, żądając wydania ciała swego dowódzcy. Dwóch kapłanów przyniosło po niejakim czasie szczątki ciała ludzkiego, około 8 funtów ważące, starannie w materyą obwinięte, podług ich zeznania, jedyne pozostałe szczątki ciała boskiego Rono.

Gopło i jego okolice.

(Dokończenie.)

Głębokość powszechna wody dochodzi 16 — 20 sążni i tem jest niebezpieczniejsza, że brzegi strome i przykre zaledwie kilka kroków mają mielizny. *)

Ztąd wnosić można, że nagły i gwałtowny prąd wody, płynący od strony Gopła, rwał sobie nowe łożysko i drogę tędy torował. Jakoż pokazują w niewielkiéj odległości Ślesina początek grobli, którą się niegdyś jeździło od tego miasta do *Lichenia;* dzisiaj zaś ginie ona w głębokości jeziora, najwęższego w tém miejscu.

Tam, gdzie teraz jezioro mikorzyńskie, leżała przed r. 1416 wieś *Lubomyśl* z gruntami swemi w dolinie, któréj punkt najwyższy błyszczał zamkiem wspaniałym. — W nim mieszkała Klara Mikorzyńska, pani dziedziczna Lubomyśla, słynna z piękności, równie jak z rozumu.

Dziś jeszcze sterczy ten punkt ponad wodami i tworzy małą wysepkę, ale zamku i wsi i ludzi, którzy w niéj zamieszkali, darmobyś szukał. Wszystko pogrążyły tonie jeziora głębokie, sama tylko pamięć tego zdarzenia wypłynęła z powodzi i o żebranym chlebie chodzi z starcami po wioskach nadbrzeżnych i z przestrachem wznawia powieści okropne.

Jeżeli P. Bóg pozwoli i wy posłuchać raczycie, to wam je *kiedyś* wiernie powtórzę. Na teraz dosyć jest wiedzieć, że o północy słyszeć się daje tętent podkowy po lesie, z którego jeździec wypada, ku najwyższemu brzegowi konia *białego* zapędza, spina go srebrną ostrogą i skacze w przepaść bezdenną!

Wyspa sitowiem gęstem porosła, na niéj wierzb kilka płaczących, letnie mieszkanie słowika; głos jego pieszczotliwy, miesza się z szumem jeziora, a odbity o zabrzeg wysoki, z którego jeździec w toń skacze, zda się wynurzać jakieś skargi i żale, jakieś pieśni miłosne i smętne, budzi w słuchaczu tęsknotę i jeszcze jedno uczucie, któregom pojąć nie umiał.

Piękna ....., z którą zwiedzałem to miejsce, słuchając, wsparta na mojem ramieniu, uroczych pieśni słowika, westchnęła cicho, i zdało mi się, żem uczuł lekkie ściśnienie jéj ręki!

W czasie pogody widać przy wysepce, 9 — 10 sążni głęboko, na dnie jeziora, sterczące gruzy i cztery pale dębowe; grzęzną one coraz bardziéj i toną. Dawniéj było jeszcze można dojrzeć szczytu chaty, w któréj *Klara* pustelnicze zakończyła życie.

Z wybrzeża *białem* zwanego (może od jeźdźca) piękny się rozwija widok na kościółek Ś. Barbary, patronki tonących, zmurowany na przyległym pagórku. Czerwony dach jego i białe ściany, cudnie odbijają przy sinych i ciemnych wodach jeziora, w różne rozlewy stoczonego, ginących z jednéj strony w błękicie widnokręgu, z drugiéj w zieloności łąk gosławskich; na prawo rysują się w obłokach zamglone pagórki *Brzeźna*, gdzie jest łom ciosowego kamienia.

Stojąc na krawędzi *białego brzegu*, widzisz przy nagłéj jego stromości, jedne drzewa pod sobą, drugie zaś zdają się nad tobą spadać do jeziora i ostrzegać o zgubném miejscu jeźdźca na białym koniu. *)

Towarzyszka moja mówiła, że przekłonionym cieniem swoich konarów, oddają hołd należny cieniom nieszczęśliwego kochanka; a mnie się uroiło, że z szelestu ich liści możnaby jakieś słowa wyrozumieć. Wieść głosi, jakoby szczególniejszy wpływ wywierały na tych, co pod niemi zasną znużeni. — Nieraz pastuszek ukołysany szumem wichru, który górą po wierzchołkach lasu szaleje, opowiada, skoro się zbudzi, dziwne widzenia, jakie miał we śnie. A nawet pluskotanie wałów bijących o brzegi, dziwnie się kłóci z echem zielonego gaju!

Ktoby miał ucho czyste, a duszę niezarażoną ziemskiemi przesądy, a znał się na niemej mowie przyrodzenia, możeby odkrył tajemnicę ukrytą na dnie jeziora!

Niedaleko wielkiego kopca, na białym brzegu usypanego, jest parowa, którędy miał być wjazd do zamku Klary od strony Kazimierza, droga nawet jeszcze się tu i ówdzie pokazuje w lesie, ale po większéj części trawą zarosła.

Takie są okolice Mikorzyna; nuż powiem słów kilka o jeziorze Ślesin, którego wody poczynają się o pół mili od miasta Ślesina. — Rozlewa się ono w kształcie kotwicy; prawe jéj ramię zachodzi pod Biniszew, *) gdzie na wy-

---

*) Z téj przyczyny częste się tu wydarzają zatonięcia; lud sobie powtórzył mnóstwo powieści *o topielcach.* — Między innemi opowiadał pewien czcigodny obywatel, iż w r. 1816. przy blasku księżyca widział zjawisko szczególne. — Nad jedną tonią około Śgo Jana, a zatem ponad wodą, postrzegać się dały cienie wyraźne, które obracając baby, prowadząc chochle, wyciągały niewód. Przelękniony nie mógł doczekać końca i zaciąwszy konie, uciekł; — a opowiadając to zdarzenie nazajutrz, świadczył się prawdą, Bogiem i furmanem swoim, że ani słowa nie zmyśla!

*) Pan Bergeman opisywał w pamiętnikach swoich na jeziorze gosławickiém wyspę podobną, i podobną powieść przytaczał; ale nie masz tam ani wyspy, ani podania: zdaje się, że istniała niegdyś, przed 30 laty.

*) Wspomniawszy o Biniszewie, nie mogę zamilczeć o kapliczce stojącéj przy drodze, słynnéj cudowną studzienką; cztery do niéj podobne znajdują się w Kazimierzu, wystawione na pamiątkę umęczenia pięciu braci Polaków: Jana, Mateusza, Izaaka, Christimesa i Barnabasza, współ-towarzyszów Śgo Wojciecha. Prowadzili oni pustelnicze życie w tych okolicach dzikich,

sokiéj górze, *sowią* zwanéj, jest opuszczony klasztór XX. Kamedułów, lewe zaś kończy się za *Licheniem*, niegdyś miasteczkiem, dzisiaj wioską lichą.

Zdaje się, że wody tego jeziora nierównie wyżéj stały przedtem i stanowiły z resztą jeziór przyległych jednę wielką całość, wylewając się obficiéj przez Ślesin ku Warcie; inaczéjby téż nie można przypuścić spławności Goplenicy, która jest prawdą historyczną.

Przypuściwszy spławność tego odlewu, obok spławności Noteci, strugi ciągnącéj się do Brdy, która pod Fordonem do Wisły wpada, można Kruszwicę przyjąć za punkt środkowy handlu Polanów i mieć związek z Gdańskiem, Winetą i t. d.

Musiał niegdyś w Polsce być handel znaczny, kiedy widzimy, że za Zygmunta Igo, Szydłowiecki i Kościelecki ułożyli porządne, osobne prawo handlowe, że pamiętna ustawa króla zabraniała wyprowadzania towarów do Szląska i wypędzania zbyt wielkiéj liczby wołów za granicę. — Gdańszczanie i Królewszczanie, nawet sami Anglicy, mieli w Kazimierzu, w Kownie i w innych miéjscach swoje kantory i śpichlerze.

Opadnięcie późniejsze Gopła, o którem wspomnieliśmy wyżéj, sprawiło niezawodnie upadek Kruszwicy, *) czego doznała także cała okolica. Nie masz miast *Noci* i *Lichenia*, znikły ludne wsie nad jeziorem Ślesin i nad Goplenicą położone, jako to: Kępa, Kępka, Przeław, Blizno i Blizienko, chociaż dobroć i żyzność gruntu zdawały się trwałość ich zapowiadać.

Przez przekopanie kanału morzysławskiego, w którym wodę śluzami utrzymują, okolica ta na nowo zakwitać poczyna. Handel drzewa na Wartę jest w ruchu; gdyby jeno rząd chciał odnowić związek Ślesina z Gopłem, (a nic łatwiejszego nad to, kanał bowiem stary dziś jeszcze exystuje i tylko *głębszego* przekopania wymaga (gdyby rząd chciał ten związek odnowić, zyskałby nie mało na spławie drzewa do nieleśnych Kujaw, bez którego ziemia ta, mimo żyzności swojéj, nigdy się dostatecznie w bogactwa i w ludność zamódz nie może.

---

a Bolesław Chrobry polujący na kniei kazimirskiéj, odwiedzał je po dwakroć. — Powieści ich życia i umęczenia nie omieszkam udzielić redakcyi później.

*) Długosz wprawdzie inną podaje przyczynę upadku tego miasta. Najprzód mówi, iż zbrodnia Popiela i pamiętna kara za nią, znienawidziły to miejsce mieszkańcom; opuszczali je przeto powoli, idąc w ślad nowo-obranego Piasta, który się przeniósł do Gniezna. Gdzieindziéj ten *słuszniejszy* powód przytacza: — Kiedy Zbigniew wiarołomny, uratowawszy się z Wrocławia ucieczką — wszedł zdradą z niedobitkami do Kruszwicy, obronnéj naówczas; Pomorzanie, posiłkujący go, stali rozłożeni przed miastem. — Z nieobaczka wpadł im na karki król Krzywousty — dzielnym atakiem napędził wszystkich w jezioro; miasto opierające się, na łup wydał żołnierstwu — załogę w pień wyciął, brata nieprawego zabrał w niewolą — miasto spalił i zburzył. Od téj chwili nigdy się już podnieść nie mogło! — Gniew i zemsta królewska, były po części sprawiedliwe, a klęska Kruszwicy okropna! — Od mnóstwa trupów, które powrzucano w Gopło, miały się wody jego zepsuć, a ryby zatrute posnąć; odtąd połów ich nigdy już nie był tak obfity, jak pierwéj. — O tém zatruciu ryb przez trupy, powiadał mi jeszcze w roku zeszłym stary rybak miejscowy.

Wszakże są tacy, co twierdzili, że mysza wieża na Gople była niegdyś latarnią oświecającą żeglugę; chociaż to domysł tylko, dla czegoż jednak nie mielibyśmy pocieszać się nadzieją, że może jeszcze do tego posłużyć?

Pierwszy statek pokazał się w tym roku na jeziorze Ślesin, w celu zakupienia kości do fabryk cukru. Nowa ta gałąź handlu w tych stronach, może da się rozszerzyć tak, jak handel pijawkami, który kwitnie w Ślesinie i znaczne kapitały obraca w okolicy.

Rzeczony spław drzewa do Kujaw, byłby tém łatwiejszy i tém większe obiecuje korzyści, że jezioro Ślesin oblewa znaczne bory; zaraz od swego początku ma po lewym brzegu ogromny bór ślesiński *), pełen zarośli, gąszczów, wądołów i kryjówek, służących za schronienie czarnemu zwierzowi, a zwlaszcza złoczyńcom wszelkiego rodzaju. Od niepamiętnych czasów słyną te miejsca z częstych rozbojów; urosło ztąd przysłowie, w odległejszych nawet okolicach używane: *„będziesz zbijał na boru ślesińskim!"* stósuje się szczególniéj do synów niegodziwych. — Podobne przysłowie słyszałem w sandomirskiem, gdzie ludzi złéj wiary zowią: *„zbój świętokrzyzki"*; ale na Śtym Krzyżu z tradycyi tylko słychać o rozbojach dawnych; bory zaś ślesińskie dziś jeszcze przechowują zbrodniarzy. Co rok zakładają w nich obławy, co rok pochwycą lub ubiją kogo.

Część jego nazywa się: *czarny bór*; kiedym tam wszedł sam jeden, przeraził mnie ponurością swoją. Ogromne sosny odwieczne, jako olbrzymy puszczy strzelające do chmur, zaciemniają niebo czarnemi korony. — Wicher szumi po ich wierzchołkach, ale spodem cisza nieprzerwana i głucha. Żadna paproć, żadna trawka się nie poruszy, chyba, że gad zjadliwy prześliźnie się pod niemi.

Nie usłyszysz tu nawet śpiewu ptaka, żegnającego dzień zachodzący, tylko jastrząb drapieżny, albo sowa łężna przestraszy cię łapotem, kiedy się nagle porwie po nad tobą i siwe skrzydła rozpierzy na wiatrach.

Czasem zachrzęszną chrusty i zachrapocą szuwary; to zwierz dziki pomknął z leżyska i uchodzi na głębsze komysze.

Straszne to miejsce, a przecież są ludzie, co sobie w niem upodobali, co czarniejszą od niego mają duszę i dziksze spojrzenie.

Człowiek i w złem i w dobrem zawsze przewyższa naturę. Piękna dusza, umysł szlachetny, silniéj zachwyca nas k'sobie, jak najpiękniejsze lica niewieście, lub najkształtniejsza postawa męzka. Czyn wielki, bohatyrski, przetrwa pokoleń tysiące; niejedna gwiazda zgaśnie na horyzoncie niebios, nim pamięć takiego czynu zaginie. — Grecya runęła; a napiwszy się ze źródła Lety do syta, nie mogła stradać pamięci życia swojego. Cedr Libanu, który tysiące lat przetrwał, raz runie, ażeby więcéj nie powstać!

Między ludem tutejszym krąży pełno powieści o Garczyńskim, rozbójniku za Władysława Łokietka. Widziałem miejsce, gdzie miał swój zamek obronny; w lesie między górami, w parowie, jest wzgórze, potrójną fosą obwiedzione w koło, naprzodzie wyniesiona parapeta (nadwałek, Brustwehr) przytyka do téj części ślesińskiego jeziora, które *Przywłokami* zowią. — Kopiąc na łokieć głęboko, znajduje się gruzy i żużle.

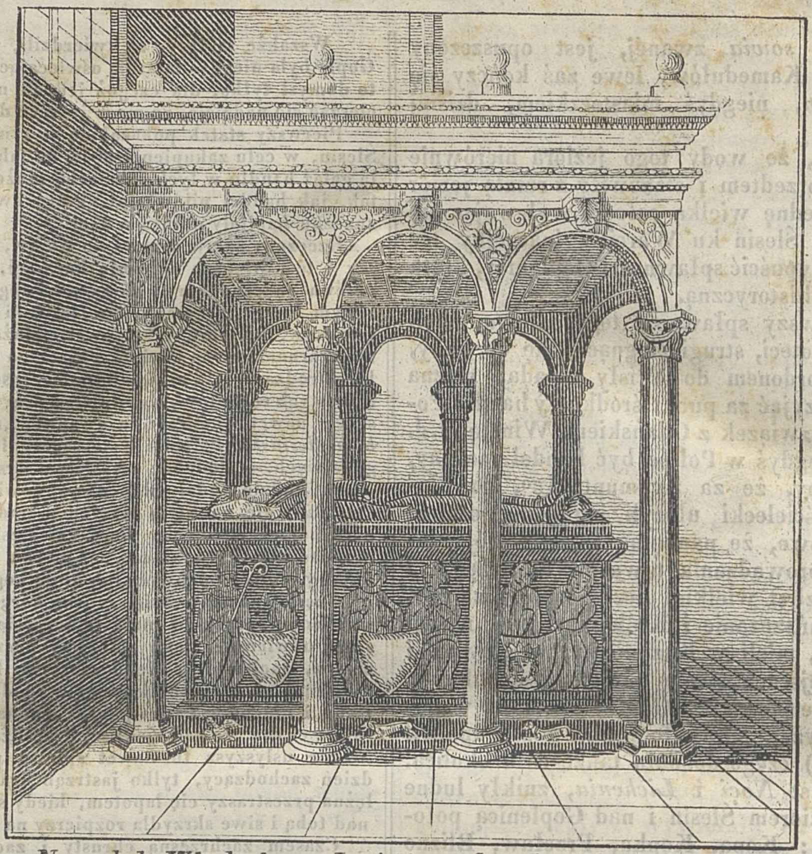
Są tu prócz tego inne jeszcze podania o Kosińskim, z czasów konfederacyi barskiéj, ale ich nie przytaczam, bo nie chcę rozdrobnieniem i częściowem opowiadaniem zdarzeń, zepsuć powieści, jaką z nich utworzyć można.

Najgłębsza toń jeziora znajduje się przy kościele Śgo Krzyża w Wąsoszach i wynosi przeszło 30 sążni; zwykle też lody najprędzéj pękają w tem miejscu, a pęknąwszy, tak silnie ścierają się z sobą, jakąś tajemną siłą przyciągnione, że formują skały kryształowe, tysiącem promieni błyszczące, najrozmaitszą grą kolorów drgające w słońcu. Cudny to widok!

Latem zaś wody jeziora tak są czyste, zwłaszcza na głębinie, że nie oledwo dnaby dojrzeć można; w jesieni i

---

*) Nie należy on przecież do miasta Ślesina; niektórzy nazywają tę część boru i tę część ślesińskiego jeziora: *Przywłoki*.



Nagrobek Władysława Jagiełły w katedrze krakowskiéj.

z wiosny służą do picia; w niektórych znowu miejscach naśladują całkiem kolor wód morskich, również ich wzburzanie się i opadanie. W czasie takiego wzburzenia, nie radziłbym nikomu puszczać się czołnem na głębią; większe nawet łodzie, doświadczonéj tylko ręce kierować się wtedy pozwolą!

I to jezioro ma swoje piękne krajobrazy, które nie ustępują biało-brzegowi mikorzyńskiemu. Zaraz n. p. z *gaju Krzyżki*, albo z *Ostrowa*, można się w lecie przypatrzyć *kąpielom jeleni*. Z wysokich brzegów skaczą one stadami gwałtownie w głębie jeziora, a podniósłszy rogi rosochate, pływają rączo, podobne morskim potworom. Łanie wysmukłe uważaćby można za syreny, albo za wodne boginie, które się *z pianki* rodzą.

Kiedym to mówił pięknéj mójéj towarzyszce, powiedziała mi z złośliwym uśmiechem, że dzisiaj te boginie już i po ziemi chodzić umieją i nie z rzadka napotkać je można.

To samo jezioro, które jeleniom latem za ochłodę służy, staje się w zimie ich zgubą; wilki bowiem napędzają je w téj porze na *gołolody*, gdzie ślizgając się, padają ofiarą ich podstępu.

Na jeziorze ślesinskiém jest także wyspa, która świeżo dostała nazwisko: „Izabella“ (Isola bella) od imienia pięknéj właścicielki! *)

*) Za nadesłane, łaskawie artykuły składam szanownemu autorowi, panu M...., najczulsze podziękowanie i nieomieszkam co najrychléj z nich korzystać. *R. W. B.*

Nagrobek Władysława Jagiełły w katedrze krakowskiéj.

W odwiecznéj dawnego grodu królów polskich katedrze, w kaplicy ś. Krzyża, fundowanéj przez królowę Elżbietę, córkę cesarza Alberta, a żonę Kazimierza Jagiellończyka, znajduje się między kilku innemi, po prawéj stronie wielkich drzwi wchodowych, grobowiec króla Władysława Jagiełły, wzniesiony przez Zygmunta I. w r. 1524 (Starowolski Monum. Sarm. p. 2.), który dawniéj ustawiony był w samym gmachu świątyni pomiędzy filarami. Na wierzchu tegoż leży posąg monarchy, pierwszego połączyciela Litwy z Koroną, zmarłego w Grodku (pod Lwowem) r. 1424, w wieku sędziwym, panowania lat 48.

Władysław Jagiełło, syn Olgierda, a wnuk Gedymina, urodził się r. 1340 z Maryi xiężniczki twerskiéj; po ojcu od r. 1381 w. xiąże litewski, poślubiając królowę Jadwigę, ochrzcony, i na króla w r. 1386 w Krakowie koronowany. W Bazylei, gdzie wtedy zbór się odbywał, uroczyste za króla tego odprawione były exekwie. Jemu Litwa winna zaprowadzenie chrześciaństwa. Żon miał cztery: 1) *Jadwiga*, królowa polska, córka Ludwika, króla węgierskiego i polskiego, urodzona 1372, zmarła 1399. — 2) *Anna*, hrabianka cyllejska, wnuczka Kazimierza W., zaślubiona 1400, zmarła 1416., wydawszy na świat córkę Jadwigę, zaręczoną margrabi brandenburgskiemu. — 3) *Elżbieta Pilecka*, wdowa po Granowskim, poślubiona 1417 r., zmarła 1420. 4) *Zofia*, księżniczka kijowska, zaślubiona 1422., zmarła 1461. Z niéj urodzili się Władysław i Kazimierz, którzy po śmierci ojca po kolei na tronie polskim zasiadali.

Z końcem roku piątego istnienia Przyjaciela Ludu, uprasza niniejszém wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie król. pocztamtach, lub księgarniach, przypadającą na następujące półrocze prenumeratę, w kwocie 1 tal. 7½ sgr. (7½ złp.), wcześnie złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących numerów.

Ernest Günther, księgarz i typograf.